Nr. 10. Lwów, 15. maja 1901. Rok XXIV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

ZJAZD ŁOWIECKI.

Tegoroczny zjazd odbędzie się w dniach 30. czerwca i 1. lipca. Porządek obrad i program strzelania zostanie w najbliższym numerze *Łowca* ogłoszony. Wydział przedstawi zjazdowi do uchwalenia kilka przedmiotów ważnych, dotyczących spraw ogólnie łowieckich, jak również tyczących się samego Towarzystwa.

Spodziewamy się, że członkowie Towarzystwa zjadą się liczniej niż roku przeszłego, — nie na dziesiątki, jak dotąd, lecz na setki powinniśmy już liczyć uczestników obrad.

Mamy nadzieję, że odezwy nasze nie przebrzmią bez skutku i że tegoroczny zjazd wykaże znowu wzrost zainteresowania sie ogółu łowieckiego sprawami łowieckiemi.

Redakcya.

O broni kulowej.

Przez A. Przedrzymirskiego.

Artykuły pp. R. i A. Mniszka, pomieszczone w ostatnich zeszytach *Łowca* a poruszające mój ulubiony temat, skłaniają mnie do dodania kilku uwag w tej sprawie, tak żywotnej w łowieckich kołach i tak często poruszanej w ostatnich czasach.

Nie jestem z zawodu rusznikarzem, co do prawideł balistyki jestem również jak tabaka w rogu, jeżeli zatem ośmielam się pisać coś o broni kulowej, to tylko jako empiryk, który w swoim życiu puścił niejedną kulę w świat a puszczając je nie hołdował zasadzie, że człowiek strzela a los kule nosi, lecz starał się ze swej strony choć trochę temu losowi pomagać. Namnożyło się u nas modeli sztućców i kul w ostatnich czasach jak gwiazd na niebie, namnożyło się modeli ładunków sztućcowych jak ziarnek piasku na wybrzeżu morskiem, każdy rusznikarz poleca coś nowego. Mamy expresy kaliber 500, 450, 360 i inne, mamy mausery, manlichery, colty i Bóg wie jakie jeszcze inne wynalazki. Gdyby choć jeszcze każdy expres mający np. kaliber 450 strzelał każdym ładunkiem, noszącym znak 450. Ale gdzież tam, samych modeli ładunków kal. 450 jest kilkanaście. Mamy długie, średnie i krótkie, mamy łuski cylindryczne, koniczne i flaszkowe, każdy co innego lubi. A skutek tego jest taki, że ktoś z moich znajomych zamówił sobie u rusznikarza ładunki do swego sztućca kal. 450 i stojąc przed miotem, w którym psiarnia atakowała niedźwiedzia, zagwoździł sobie tak dokładnie sztuciec tymi ładunkami, że udawano się aż dopiero do pobliskiego kowala, który za pomocą kleszczy ledwie był w stanie te ładunki wyciągnąć. Miła sytuacya. Lecz może stać się jeszcze gorzej. Bo ktoś sprowadziwszy ładunki do swego sztućca, może być narażonym na rozsadzenie luf, gdyż każdy sztuciec, choć jest nawet tego samego kalibru, strzela inną miarką prochu i inną kulą. W ostatnich czasach zdarzyło się kilkanaście wypadków rozerwania sztućców. Kto wie, czy nie jest przyczyną tego ta mnogość modeli ładunków i rozmaitość ilości i jakości prochu w ładunkach sztućcowych. Każdy myśliwy, nie sporządzający sam sobie ładunków sztućcowych, może być dziś jutro na przykry wypadek lub nawet i kalectwo narażonym. Nie małą gra tu rolę także i rozmaitość różnych prochów, używanych do nabojów. Mamy czarne, brązowe, szare, białe, dymne i bezdymne, a każdy o innych właściwościach i innej sile wybuchowej. Jak łatwo o zamianę i wypadek. Rusznikarz mający liczną klientelę, dostaje często telegram tej treści: „Proszę tam i tam posłać mi 50 naboi do mego expresa“. Ależ ten rusznikarz ma takich expresów kilkadziesiąt do obsłużenia, a każdy czem innem strzela. W porze polowań zamówienia są częste, nieraz w nocy, lub kilka naraz uskuteczniać trzeba. W warsztacie znajdują się setki modeli ładunków, cóż łatwiejszego, że do posyłki przeznaczonej dla pana X., dostał się jeden ładunek przeznaczony dla pana Y. z ilością prochu lub jakością, jakiej sztuciec pana X. nie znosi i wypadek gotów. Nie można nawet winić rusznikarza bo w tym chaosie ładunków kul, modeli, miarek, prochów odnaleźć się po prostu nie można. Wie o tem dobrze każdy myśliwy, posiadający kilka sztuk różnokalibrowej broni, a cóż dopiero za galimatias w takim warsztacie rusznikarskim. Powtarzam raz jeszcze zamiana bardzo łatwa, a często bez niczyjej winy. Winną tu tylko ta rozmaitość modeli ładunków i amunicyi a ta rozmaitość to prawdziwe nieszczęście i powinny wyjść jakieś policyjne przepisy zmierzające do ujednostajnienia broni kulowej i amunicyi, któreby zdziałały przynajmniej to, ażeby sztuciec pewnego kalibru mógł strzelać d o b r z e i bez n i e b e z p i e c z e ń s t w a każdym ładunkiem każdego innego sztućca tego samego kalibru i systemu. Wtedy ktoś zamawiając ładunki do swego sztućca miałby pewność, że nazwawszy kaliber, dostanie to czego żądał i że bezpiecznie strzelać może, podczas gdy dziś, jak powtarzam, każdy sztuciec czem innem strzela. Nietylko bezpieczeństwo ale i oszczędność zyskałaby dużo na takiej ujednostajniającej reformie.

Ujednostajnienie jednak broni i amunicyi jest niestety prawie niemożliwem, bo „de gustibus itd. Starzy nestorzy łowieccy, posługujący się jeszcze grubymi kalibrami, strzelający ze sztućców o kalibrach 18, 16 a często nawet 12 i 10-tym, z nieufnością patrzyli na malutki wówczas expres kalibru 500, choć te expresy w porownaniu do dzisiejszych sztućców ośmiomilimetrowych były prawdziwemi kolubrynarni. Można sobie wyobrazić, co sobie ci nestorzy myślą o broni małokalibrowej i o tych, którzy ją noszą. Tym panom było zamało grubych kalibrów. Taki pocisk jeszcze im nie wystarczał. Zastosowano więc do grubych kalibrów kule wybuchowe i kule expanzywne, gdyż wymagano rzeczy prawie niemożliwej, ażeby gruby zwierz, raniony kulą, kładł się zaraz na miejscu strzału. Kule wybuchowe okazały się odrazu do niczego, co do kul expanzywnych zdania u nas są dotąd podzielone, choć w niemieckich kołach łowieckich dawno dano prym tępym kulom ołowianym, bez żadnej expanzy.

Długoletnią praktyką wyrobiłem sobie zdanie, że expanza u kuli jest wprost dla skutku i celności strzału szkodliwą. Zdania tego nie ośmielam się narzucać nikomu, postaram się je jednak uzasadnić. Mała expanza u kuli jest przymiotem czysto iluzorycznym, gdyż nie zwiększa dążności kuli do deformacyi a powiększając opór kuli w czasie jej biegu, osłabia jej działanie przy uderzeniu. Duża, przesadna expanza jest stanowczo szkodliwą, gdyż pominąwszy już zboczenia kuli przez zwiększenie jej oporu w powietrzu, wywołuje taką deformacyę pocisku przy uderzeniu, że kula zamieniona poprostu w placek, traci wszelką możność przebijania i grzęźnie tuż pod skórą grubego zwierza, do którego strzał był skierowany. Znane mi są wypadki gdzie dzik trafiony taką kulą w łopatkę, rulował, wstawał i uchodził na zawsze, lub też, gdy szczęśliwym wypadkiem był przez kogoś drugiego zabity, znajdywano w nim przy obdukcyi placek ołowiany, tuż pod skórą na łopatce. Naturalnie, że dzik taki mógł długo jeszcze wędrować, wykurować się a nawet cieszyć się licznem potomstwem w przyszłości. W wypadku gdyby taki dzik był nawet w tym samym miocie przez drugiego myśliwego dobitym, nie mógłbym go przyznać pierwszej kuli, bo strzał taki bezwarunkowo nie jest śmiertelnym. Widziałem w życiu kilka takich wypadków z dzikami, jak wesoło wędrowały po expresowej kuli na łopatce, ale przytoczę tu jeszcze jaskrawy przykład. Sąsiad mój na linii strzelił z expresa do zająca. Po miocie, przechodząc obok, ujrzałem w miejscu łba parę strzępków, wśród tych strzępków coś błyszczało, schyliłem się i podjąłem kulę a raczej placek ołowiany, wielkości srebrnego guldena. „Co za wspaniała expanza!“ zawołał mój sąsiad „Nawet przez łeb zajęczy kula nie przechodzi“. Nic na to nie odrzekłem, ale chciałbym widzieć zachwyt tego samego pana po strzale

taką kulą do grubego dzika lub jelenia. Zdaje się że wtedy poglądy na expanzę u mego sąsiada uległyby pewnej zmianie. „Nie strzelajcież w łopatkę", powiedzą zwolennicy expanzy. Dobrze — lecz któż jest takim Carwerem, ażeby dzikowi idącemu galopem w drągowinie umieszczał kulę tam a nie gdzieindziej. Przeciętny myśliwy jest zadowolonym, jeżeli w ogóle trafi zwierza, dlatego też powinien strzelać pociskiem, który bez względu na miejsce, gdzie ugodzi, działa zawsze śmiertelnie. Przez działanie śmiertelne nie rozumię jednak skutku natychmiastowego, lecz jedynie zranienie, które w możliwie najbliższej przyszłości śmierć powoduje. Zwierz zraniony w ten sposób, choćby nawet później był cudzemi kulami trafiony, musi być pierwszej kuli przyznanym.

Rzadko gruby zwierz pada na miejscu strzału. Rogacz bardzo często, dzik i jeleń prawie zawsze idą jeszcze z bardzo dobrze siedzącemi kulami. Przestrzeń którą ubiegną po strzale śmiertelnym, jest bardzo rozmaitą, gdyż zamyka się w granicach od kilku do kilku tysięcy metrów a zależy tak dobrze od miejsca trafienia, jakoteż i od indywidualnej dyspozycyi zwierza. Widziałem dziki trafione w miękkie, a rulujące i kończące na miejscu, widziałem natomiast rogacze strzelone expanzywnymi kulami z expresa kal. 500, które jeszcze uchodziły po 200—300 kroków, mimo, że serce i płuca były w strzępach. Stałych reguł co do szybkości działania kuli postawić nie można. Jeden zwierz pada na miejscu, drugi trafiony tak samo i takim samym pociskiem idzie daleko. Dlatego też myśliwy nie powinien stawiać wniosków co do zabójczości pewnego pocisku z dłuższego lub krótszego okresu czasu, w jakim po strzale śmierć zwierza nastąpiła.

Myśliwy powinien żądać tylko od swego pocisku, ażeby dążył z możliwą precyzyą do celu i ażeby przy miernej deformacyi, zachowywał jak największą siłę przebijania i ażeby wreszcie powodowane przez ten pocisk rany, silnie broczyły. Każdy pocisk, który jednoczy te zalety, będzie bez względu na kaliber pociskiem doskonałym. Takim idealnym pociskiem expanzywna kula nie jest stanowczo, gdyż zbacza łatwo od celu, rozbija się na gałęziach, grzęźnie na łopatce pod skórą a postrzałki trafione nią w miękkie, zupełnie nie giną szybciej niż trafione tak samo pełną, tępą, ołowianą kulą. Z tych też powodów dawno ją zagranicą w zastosowaniu do grubego zwierza zarzucono.

Panuje w naszych łowieckich kołach mniemanie, że dobra kula nie powinna zwierza na wylot przebijać. Podobne mniemanie jest z gruntu fałszywem i doprowadziło do owych przesadnych expanzyi, które już pod skórą postrzałka zatrzymują kulę. Najlepszym pociskiem, mojem zdaniem, dla expresów wszystkich kalibrów, jest kula z miękkiego ołowiu, pełna, miernie u góry spłaszczona, bez żadnej expanzy. Taka kula wystrzelona, czy to z expresa kal. 500, czy też z expresa kal. 360 będzie bezwarunkowo śmiertelną, czy ugodzi dzika lub jelenia w łopatkę czy w komorę, w środek ciała lub też w pachwiny, po trafnym strzale można z całym spokojem wyczekiwać skutku. Kiedy śmierć po strzale nastąpi, to rzecz inna i z wyjątkiem strzałów, które dosięgły mózgu lub też kręgosłupa, a przy których zwierz pada na miejscu strzału, o innych strzałach nic nie da się powiedzieć, pod względem szybkości w sprowadzaniu śmierci. Gdy strzela się z tą pewnością, że trafi się zawsze mózg lub stos pacierzowy, to można do najgrubszego zwierza strzelać nawet z Piperowskiego sztućczyka a skutek będzie pewny. Jeżeli się jednak gdzieindziej trafia, to skutek rychlejszy lub późniejszy jest bardzo względny i od kalibru pocisku niezależny a tem pewniejszy, im kula przy miernej deformacyi zachowuje swoją zdolność przebijania. Stanowczo jednak utrzymuję, że expanza, o ile temu skutkowi nie przeszkadza, o tyle nic a nic nie pomaga. Przypatrzmyż się zachowaniu i działaniu kuli po strzale.

Pocisk opuszczając gwintowaną lufę sztućca, zachowuje swoją rotacyę, jakiej nabył w gwintach lufy, ma więc (abstrahując prawidła balistyki) dwa ruchy nadane mu przez siłę wybuchową ładunku, a to rotacyę około własnej osi lufy, z której został wystrzelony. Jeżeli ten pocisk jest z ołowiu, to przez ciepło spowodowane tarciem w gwintach, znajduje się w pewnem stadyum miękkości, wystarczającej aż nadto do nadania mu przy uderzeniu odpowiedniej deformacyi. Pocisk ten pełny, ołowiany, uderza o ciało zwierza, deformuje się do pewnego stopnia i wnika w mięśnie, rotując ciągle. Ta rotacya powoduje, że na pocisk zdeformowany i opatrzony karbami, nawijają się strzępy mięśni jak na wrzeciono a porwane impetem kuli, dążą z nią naprzód, drąc i niszcząc wraz z pociskiem napotykane przeszkody. Pocisk przebija zwierza i wychodzi z drugiej strony już nie w pierwotnej wielkości, ale znacznie powiększony tak przez deformacyę jakoteż przez nawinięte na niego strzępy mięśni. To jedno działanie niszczące kuli; a teraz drugie. Pocisk oprócz mięśni napotyka na swej drodze naczynia krwionośne i limfatyczne, wypełnione płynami. Wskutek gwałtowności uderzenia, płyny te stawiają ogromny opór hydrauliczny pociskowi, a naczynia nie mogąc wytrzymać tego ciśnienia, pękają na dalekiej przestrzeni od centrum ucisku. Im szybszą jest rotacya pocisku i im większą jest szybkość jego początkowa, tem więcej nawija się mięśni na wrzeciono, tem większy napór hydrauliczny, tem większe spustoszenia wewnątrz, tem większy wylot kuli, tem obfitszy wewnętrzny i zewnętrzny krwiotok, tem szybsza śmierć zwierza.

Wobec tego jest jasnem, że kula, która przebija zwierza na wylot, więcej robi spustoszeń, aniżeli kula grzęznąca płytko w mięśniach i że szybszego skutku spodziewać się można po pocisku, który przebija w swojem biegu jeden bok zwierza, przechodzi przez obydwie łopatki lub też przez obydwa skrzydła płuc i serce i wychodzi drugą stroną, robiąc ogromny wylot, aniżeli od kuli expanzywnej, której celność jest wątpliwą, której deformacya jest tego rodzaju, że niweczy jej szybkość początkową, skutkiem czego kula taka grzęźnie płytko i sprawia często tylko powierzchowne zranienia, a ucisk hydrauliczny wskutek zmniejszonej chyżości niewielki i ograniczający się tylko na najbliższą okolicę zranionego miejsca. Nie przeczę, że expanzywną kulą można zwierza grubego zabić, lecz wartość expanzy jest czysto iluzoryczną, gdyż dużo lepiej i pewniej zabić można kulą pełną. Wyższość kuli przebijającej zwierza na wylot, polega także i w tem, że przez otwór wylotowy następuje znacznie obfitszy krwiotok zewnętrzny, aniżeli przez otwór wchodowy kuli, z którego często żadnego zewnętrznego krwiotoku nie ma. O ile ta okoliczność jest ważną, przyzna mi każdy, kto grubego postrzałka poszukiwał na czarnej stopie. Zwierz przebity kulą na wylot, broczy silnie, wskutek znacznego upływu krwi, kończy bliżej i rychlej i łatwym jest do od-

szukania. Zwierz strzelony kulą expanzywną na czarnej stopie może zupełnie nie farbować i być dla myśliwego straconym. Przyznam się, że mając prawo wyboru, wybierałbym zawsze do grubego zwierza kulę ołowianą miernie tępą bez żadnej expanzy. Tak zawsze wybierałem i nie przypominam sobie wypadku, aby dzik przezemnie gdziekolwiek strzelony nie był podjętym a dużo grubych dzików rulowało jak zające.

Od czasu wejścia w użycie broni małokalibrowej 8-mio milimetrowej, o pocisku 1|2, 2|3, 3|4 itd. płaszczykowym, kwestya kuli pełnej czy expanzywnej, strzału w komorę czy łopatkę, przestała być aktualną. Pocisk 8-mio milimetrowy ukryty do pewnej części w płaszczu stalowym lub niklowym, gdziekolwiek ugodzi sprowadza śmiertelne i szybkie skutki. W pocisku tym połączono wszystkie możliwe zalety, bo niesłychaną celność, ogromną szybkość początkową, niezmierną siłę przebijania i odpowiednią deformacyę pocisku przy uderzeniu. Pocisk taki przebija zarówno łatwo wronę jak i jelenia, a dzięki swej kolosalnej szybkości, wywołuje w organizmach zwierzęcych działanie prawdziwie piekielnej maszyny. Nie wynika z tego, ażeby każdy zwierz trafiony takim pociskiem, musiał polec na miejscu, rzecz to jest bardzo względna, ale strzelajac z expresa kal. 500, miałem wypadki, że sroka trafiona w brzuch na połeć expanzywną kulą, potrafiła jeszcze polecieć 100 kroków po strzale, zając, którego wszystkie jelita zostały na śniegu, uszedł jeszcze 60 kroków. Są to wypadki, które przy każdej kuli i kalibrze się powtarzają i ani pociskowi ani kalibrowi zarzutu z tego robić nie można. Ale przy pocisku płaszczykowym 8-mio milimetrowym odpadają wszystkie wachania w chwili strzału. Nikt nie potrzebuje się wachać, czy strzelać w łopatkę czy komorę, czy nawet słabiznę, nikt nie potrzebuje liczyć, czy to jest 30 czy 300 kroków, byle trafić i byle nie po badylach, to każdy strzał dobry a postrzałek niedaleko, jeżli nie na miejscu, leżeć będzie.

Ostatniej zimy miałem sposobność na tych samych polowaniach skonstatować wyższość 8-miu milimetrów nad expresami. Po każdym miocie oglądali panowie expresowicze swoje tz. anschussy. Jeden przynosił jako dowód trafnego strzału parę szczecinek, drugi grudkę zfarbowanego śniegu, co to było dysput, co tropienia, łapania i dobijania postrzelonych dzików, a wiele dzików ciężko zestrzelanych przepadło. Tymczasem co strzał z małokalibrowego sztućca, to dzik leżał na miejscu lub o kilkadziesiąt kroków najdalej. Zresztą skuteczność małokalibrowej broni jest już tak stwierdzoną, że zupełnie usuwa się od dyskusyi, nie będę się więc nad tem rozwodził, a czy pocisk ma mieć mniej lub więcej płaszczyka, tego rozsądzać nie mogę. Prawda leży zapewne pośrodku. Od kilku lat strzelam wyłącznie z małokalibrowej broni, mam pociski do tej broni z większymi i mniejszymi płaszczykami, różnicy w skutkach dopatrzeć się nie mogłem żadnej. Strzeliłem przez ten czas do zwierza, ptaków i celu, pewnie parę tysięcy razy, a nigdy nie wydarzył mi się wypadek, o którym wspomina pan M. R., tj. oddzielenie się w chwili strzału płaszczyka od kuli. Musi to być odosobniony wypadek, spowodowany niedbałą konstrukcyą pocisku. Zresztą wyjątków nigdy i nigdzie wykluczyć nie można.

Kończąc te uwagi mam wrażenie, jakobym występując przeciwko kuli expanzywnej, porywał się na jakiejś bóstwo, uświęcone u nas w Galicyi i już przeczuwam gromy, jakie na mnie za taką schizmę łowiecką spadną. Lecz kto nie wierzy, niech spróbuje i prowadzi dokladną statystykę swoich strzałów i ich strzałów, kulami expanzywnemi i kulami pełnemi, a przekona się, jeżeli jest bezstronnym sędzią, o ile nimb otaczający expanzywne kule jest przesadzonym.



Co kto stworzył?

Gadka ludowa.

Chodzi gadka ciekawa między naszym ludem
Że gdy w siedem dni Pan Bóg świat ten stworzył cudem,
By się zbyt nie nudziły kamienie, rośliny,
Stworzył żywe istoty, i puścił w doliny.
A Bóg — mądrość najwyższa, i dobro odwieczne,
Stworzył same istoty dobre, pożyteczne.
I tak stworzył ze zwierząt: psa, barana, konia,
Łosia, żubra, jelenia, wielbląda i słonia.
Z mniejszych: sarnę, kozicę, antylopę, dzika,
Rena, lamę i zebu; zająca, królika.
A zaś z ptaków: łabędzie, kury i indyki,
Gęsi, kaczki, przepiórki, kuropatwy, kszyki.
Z owadów idzie: mrówka, pracownica szczera,
I pszczoła, która z kwiatów same miody zbiera.
Takie to było ziemi zaludnienie całe,
Wszystko tam pożyteczne, dobre, doskonałe.
Widząc tedy, że wszystko to w porządku czeka,
Pan Bóg wówczas dopiero jął tworzyć człowieka.
Potomkom jego różne barwy był dane:
Twarze białe, brunatne, czarne i miedziane.
Tak to stworzył: Anglika, Franka, Rzymianina,
Murzyna, Turka, Greka, Polaka, Rusina.
Ale dyabeł, co z niebem w wiecznej bywa wojnie,
Nie mógł już w swojem piekle dosiedzieć spokojnie,
Aż zazgrzytał z zazdrości — i pełen ochoty,
By popsuć dzieło boskie — wziął się do roboty.
Stworzył zaraz: tygrysa, żbika, rysia, wilka.
Między tamte zwierzęta, puścił ich sztuk kilka.
I ród ptasi też pragnął w ten sposób poprawić,
By silniejszy słabszego nauczył się dlawić.
Więc stworzył: gołębiarza, wronę i srokacza,
Kruka, srokę, krogulca, bociana, puchacza.
A w owadach i płazach chcąc przyjemność sprawić,
Tworzeniem miłych istot też się zaczął bawić.
Stworzył żmiję, skorpiona dla tamtych zniszczenia,
Muchę, pchłę i komara, osę i szerszenia.
Lecz chciał ludziom dokuczyć — bo mu niedość tego.
A nie wiedział co stworzyć im dość potwornego.
I namyślał się długo — bo w nim złość już taka!
Myśl mu przyszła... więc stworzył:... Żyda i Prusaka.

Podkamień w kwietniu.

L. Starzeński.



TAVOLAZZO W PIEMONCIE

I POLOWANIE NA CIETRZEWIE W ALPACH w roku 1825.

Przez MARKIZA de FOUDRAS.

(Wolny przekład z francuskiego przez A. TYSZKIEWICZA).

(Ciąg dalszy).

I to mówiąc wkładał sztukę po sztuce zabitej zwierzyny w ogromną swą ładownicę.

Gdy worek napełnił już wszystką zwierzyną, próbowałem go podnieść. Podnieść wprawdzie podniosłem, ale używszy prawie wszystkich sił na to.

— I wy poniesiecie to? — spytałem.

— Spojrzał na mnie ironicznie i chwyciwszy za worek jedną ręką wykręcił nim w powietrzu, jakby tornistrem pensyonarki, i zarzucił na ramię.

— Zostaw przynajmniej strzelbę — powiedział mu markiz.

— A co zrobię, jeźli mi się trafi jaki dobry strzał po drodze.

— No, to nie strzelisz.

— A cóż powie Torquato na to? Nie chcę, by pies mój sądził, że się starzeję, excelencyo.

I ruszył krokiem tak lekkim, jakby miał dwadzieścia lat tylko i nic nie dźwigał.

— Co też myślisz, że on tam robi? — spytałem.

— Co? tę przeklętą kontrabandę, patrz, rzekł markiz.

— Co?

— Jak to, nie widzisz?

— Nie. drzwi przecie są zamknięte.

— Patrz na dach.

— Co?

— Ten gęsty dym.

— Masz racyę — ten biedak się nie poprawi i boję się, że nie dotrzyma swego przyrzeczenia.

— Zaczynam się też o to bać.

W tej chwili szelest kroków rozległ się za nami, obróciwszy się zobaczyliśmy brygadyera Volenti, który z karabinem na ramieniu zbliżył się ku nam.

— Jakże polowanie się udało excelencyo? zapytał markiza, salutując po wojskowemu.

— Tak dobrze, żeśmy musieli zwierzynę odesłać przez Titana.

— Zdaje się, że już ją nawet piecze, sądząc po dymie wychodzącym z komina, odpowiedział brygadyer.

— Interesujecie się nim bardzo, excelencyo?

— Bezwątpienia.

— Poradźcie mu więc, by zaprzestał przemytnictwa, to się źle dla niego skończy. Dostałem najsurowsze rozkazy co do niego i choć bardzo jest sprytnym, złapię go przecież na gorącym uczynku.

— To was obu tylko obchodzi, wczoraj go już przestrzegliście. Ale mam prawo sądzić, że nie będzie się narażał więcej.

— I dobrze zrobi. Excelencyo, czy macie może jakie rozkazy dla waszych ludzi, których zostawiliście w Pignerol, w Crocia — Bianca? Właśnie tam wracam..

— Dziękuję wam, brygadyerze.

Volenti, powtórzywszy swój ukłon wojskowy, oddalił się. W tej samej chwili Titano wyszedł z chaty i wielkimi krokami zdążał do nas.

W dwadzieścia minut potem złączył się z nami, nieobecność jego nie trwała nawet trzech kwadransy.

Stefano mu opowiedział, co się zdarzyło, kładąc przycisk na słowa Volentiego co do dymu.

— Szelma wie za dużo, rzekł Titano kręcąc głową, jak człowiek nie mile dotknięty, ale ponieważ idzie do Pignerol, nie mam się czego obawiać tej nocy, a jutro wiecie excelencyo...

— Miej się na baczności — przerwał mu markiz; on powiedział to może tylko na to, wiedząc, że ci powtórzę naszą rozmowę, by czujność twą uśpić. Na twem miejscu, zostałbym spokojnie dziś w domu.

— Excelencyo, to niemożebne. Dałem słowo, i gdybym je złamał, moglibyście tak samo sądzić co do obietnicy danej wam. Toby było bardzo nieprzyjemną rzeczą gdybym w mej ostatniej expedycyi był przychwyconym.

— Ostrzeżeń miałeś aż za wiele. Teraz w drogę, przyjaciele, zostaje nam sześć godzin dnia, trzeba z nich korzystać. Gdzież nas poprowadzisz?

— Obiecałem excelencyi markizowi francuskiemu pokazać białe kuropatwy i koziorożca. Trzeba nam na szczyty Bricherasco.

— A więc nie traćmy czasu.

Titano przyniósł ze sobą manierkę doskonałej ratafii. Po dobrym łyku ruszyliśmy z nowemi siłami. Po godzinnem drapaniu się pod górę, doszliśmy na szczyt przed nami leżący a panowała tam tak gęsta mgła, żeśmy się o krok nie mogli jeden od drugiego oddalić, by się nie pogubić, cały zlodowaciałem od tej przejmującej lodowej mgły. Co mię zadziwiło to to, że Torquato ciągle myszkujący i szukający, przy wejściu w mgłę, w tej chwili wrócił do domu, sądząc że już po polowaniu. Teren który przebywaliśmy, czarniawy, tylko gdzie niegdzie kępami mchów ciemno zielonego koloru pokryty, był miejscami wąskiemi płatami śniegu przecięty, domyślałem się, że już do dziedziny śniegów się zbliżamy; i rzeczywiście mgła się rozjaśniała pomału, a nad nami słońce czerwone, zdawało się płynąć w falach pół świetlnych oparów, i weszliśmy na śnieg miękki, o warstwie kilka centymetrów grubej. Pomału zaczął śnieg przybierać więcej twardości i blasku, i tak jak w mgnieniu oka znaleźliśmy się w mgle, tak w jednej chwili też z niej wynurzyliśmy się.

Wspaniały widok roztoczył się wtedy przed nami, gdyśmy się znaleźli na drugiej stronie szczytu, wszystko było śniegiem pokryte i lodem, tak daleko, jak tylko okiem można było zasięgnąć.

Titano, któremu ta wspaniałość krajobrazu była dobrze znaną, nie dziwił się memu zachwytowi, lecz był rad z niego.

— Teraz excelencyo, łyk ratafii i naprzód, oto Torquato zaczyna wietrzyć, nie pójdziemy daleko bez świeżych nowin.

Stanęliśmy rzędem o 35 do 40 kroków jeden od drugiego, Titano w środku i poczęliśmy się naprzód posuwać, jakby na ścieżce lub łące jakiej.

Śnieg był zupełnie czysty, żadnego śladu ludzkiego nie widać na nim, ale za to dużo tropów było ptactwa, pomiędzy któremi nie trudno mi było rozróżnić ślady zrobione przez kuropatwy.

Titano, który równocześnie zauważał je ze mną, dał mi znak porozumienia i prawie w tejże samej chwili stanął Soliman, co mię bardzo ucieszyło, tembardziej, że Torquato stanął też do tego samego miejsca.

Ponieważ to przedemną się stało, moi towarzysze zbliżyli się do mnie, otoczyliśmy psy, które w tąkiej po-

zycyi trzymały głowy, żeśmy sądzić mogli, iż zwierzyna im pod samym nosem siedzi.

— Ja je widzę excelencyo! zawołał Titano, po kilkusekundowym bacznem przypatrywaniu się. Siedzą tuż pod nosem waszego psa, mógłby którą chwycić.

— Nic nic widzę — rzekłem po bacznem przyjrzeniu się.

— Proszę trochę podejść... jeszcze... tak dobrze. Oto jednej skrzydełko zadrgało, zaraz się zerwą.... 2, 4, 5, 6, 8 jest ich 9 lub 10, excelencyo. Widzicie je teraz.

— Nie, a ty? spytałem Stefana.

— Ja, — rozróżniam małą kupkę, jakby wiatr śnieg tam zawiał, to pewno to — odrzekł markiz.

— Oczywiście, excelencyo — Przygotujcie się! zawołał Titano.

Usłyszałem szelest skrzydeł i rodzaj spiewu jękliwego, i zobaczyłem następnie pomiędzy psami, które głowy podniosły, mały punkt czarny, to miejsce, gdzie kuropatwy siedziały i śnieg trochę odtajał.

Spojrzałem w górę: nic, przed siebie: nic, to graniczyło z czarami.

— Excelencyo! nie strzelacie? zapytał składając się Titano.

— Strzelać! Co? ja nic nie widzę.

— A więc...

Dwa grzmoty straszne; potórzone tysiąckrotnym echem rozbrzmiały, i przez chwilę brzmiały jeszcze w przestrzeni, kończąc się pomrukiem głuchym i oddalającym się.

Gdym przyszedł trochę do siebie, zoczyłem psy nasze wracające, Torquata do swego pana, a Soliman przypadł do mnie.

Każdy z nich przyniósł po kuropatwie.

Wziąłem tę, którą Soliman mi przyniósł i zacząłem ją badać z ciekawością, którą każdy z myśliwych zrozumie.

Rzeczywiście było to śliczne stworzenie, podziwiając śnieżno-białe upierzenie, zrozumiałem, że tak się zlewają z otaczającym je terenem, iż absolutnie ich zoczyć nie mogłem, tembardziej podziwiałem ostrość wzroku starego kłusownika. Kuropatwa była o trzecią część mniejsza od naszych zwykłych, nóżki czarne opatrzone pazurkami szaro-różowemi, dzióbek tegoż koloru, cynamonowego koloru oczy i lekką różową obwódkę w około oka.

— Jak u licha mogliście tę dubletę zrobić? spytałem Titana — przysięgam, żem nic nie widział lecącego.

— Coś musiało jednak lecieć, — odpowiedział tonem ironicznym, kiedy coś już nie lata.

Nic nie było logiczniejszego nad to twierdzenie, lecz kwestyi nie wyjaśniało, dlatego też pytanie powtórzyłem.

— Widzicie excelencyo, powietrze jest tu tak czyste, że przy odrobinie uwagi widzi się słaby dymek, przerzynający go. Oto przykład, przypatrzcie się temu lecącemu krukowi.

— I cóż?

— Nic nie uważacie osobliwego.

— Nic absolutnie.

— Proszę lepiej się przypatrzeć.

— Już się tak patrzę, że aż oczy bolą.. Ach! czekajcie! nie wiem, czy to wrażenie zmęczonego oka, ale mi się zdaje, że się za nim ciągnie pasek dymu szarego.

— Otóż to, excelencyo: w ten też sposób, excelencyo śledzę okiem kuropatwę lecącą. Ten dymek jest spowodowany ciepłem ciała, a ponieważ powietrze jest bardzo czyste w tej wysokości, to się.... na honor, ksiadz proboszcz w Pignerol mnie to tłómaczył, lecz zapomniałem.

— Rozumiem, rzekłem do Titana — tylko nigdy nie rozróżnię tak dokładnie tej smugi: bym próbował, strzelić, i sądzę że wasza dubleta jest przypadkową.

— Rozpocznę na nowo zaraz, excelencyo. Ileż wam takich przypadków potrzeba, byście się o prawdzie przekonali.

— Jednego.

— Więc w drogę! odrzekł Titano, który podczas tej polemiki, nabił na nowo broń.

Po kwadransie szukania, Soliman, który na lewo odemnie się znajdował, zwrócił się gwałtownie i stanął, z ciałem zgiętem, jakby skamieniał w tej pozie.

Dałem znak staremu kłusownikowi, który pospieszył do mnie.

— Otwórzcie dobrze oczy excelencyo, przemówił — i wspomnijcie, com przed chwilą mówił, trzeba tylko trochę ćwiczenia, jak chybicie, zaraz po was strzelę, by mój drugi „przypadek" powtórzyć. Widzicie?

Koniecznym jest opis miejsca, by móc zrozumieć to, co nastąpi.

Miejsce, gdzie Soliman stanął, było pokryte śniegiem, jak to, gdzie Titano przed chwilą zrobił swą dubletę, ale o 40 do 50 kroków dalej w kierunku, gdzie prawdopodobnie zwierzyna miała lecieć, zaczynał się lodowiec wąski, którego powierzchnia niebieskawa, odcinała się dosyć ostro od śnieżnej białości, otaczającej nas zewsząd.

Tak jak i pierwszym razem, patrzyłem przed psa, lecz nic nie mogłem zobaczyć choć Titano, a nawet i markiz twierdzili, iż widzą pięć do sześć sztuk w kupkę zbitych.

Szmer skrzydeł i głos jękliwy, dał mi znać, że się porwały, złożyłem się więc przed siebie, by szary dymek odkryć i strzelić na chybił trafił prawie, ale nic nie spostrzegłem podobnego.

Naraz, krzyknąłem z radości, po którym to krzyku nastąpił podwójny strzał i miałem satysfakcyę móc zawołać Solimanowi: Apporte!

Oto co się stało.

Dopóki kuropatwy leciały tuż nad śniegiem, tak się zlewały kolorem z terenem, żem nic nie widział, ale nadleciawszy nad powierzchnię niebieskawą lodowca, ciemniejszą od ich upierzenia, odznaczyły się na tym tle jak śnieżne obłoczki, skorzystałem z tego, by je przywitać strzałami.

— Brawo, Signor marchese! zawołał Titano, — możecie powiedzieć, że macie szczęście; ale nie ma co mówić, strzelone było po mistrzowsku.

Powiedziałem Titanowi, żem dumny z jego opinii, i wsadziłem do torby moje dwie kuropatwy.

— A teraz excelencyo, proszę strzelbę nabić kulą, to doskonale, że się ze śrótu strzelba oczyściła.

— Więc to nie żart?

— Co, excelencyo?

— To koziorożce...

— A, excelencyo, nie żądam nic więcej tylko trudu, ale dużego, z pół godziny; nie będzie to przechadzka z laską w ręku, jąką od rana czynimy.

Przyznam się otwarcie, że gdyby Titano nie przypomniał sam swej obietnicy, ja bym mu jej z pewnością

nie przypominał. Już nie mogłem więcej chodzić, tak byłem zmęczony i w duchu klnąłem, by wszystkie koziorożce dyabli wzięli.

Ale co to może miłość własna, która każdemu tyle głupstw każe robić w życiu, i mnie wstrzymała od powiedzenia Titanowi, iż wolałbym prosto wrócić do jego chaty, by spać na laurach dzisiaj zdobytych, niż za nowemi się drapać.

Na tyle nawet posunąłem hipokryzyę, iż sam dałem znak marszu, ba, nawet puściłem się krokiem przyspieszonym; co spowodowało Titana do kilku ironicznych uwag. bowiem przyznać muszę, że nie dał się oszukać ani na chwilę moją pochopnością.

Pierwszy kwadrans minął jako tako, lecz im dalej, tem droga stawała się trudniejszą, nastała chwilę, żem potrzebował całej mej siły moralnej, by się nie położyć na drodze.

Titano przestał dowcipkować na moje conto i by drogę skrócić, opowiadał niestworzone historye o swym psie; widząc mnie kompletnie przybitym, rzekł:

— Excelencyo, mam wam dwie doskonałe nowiny do powiedzenia.

— Ach! — odrzekłem z obojętnością wielkich rozpaczy.

— Przybędziemy za cztery lub pięć minut do miejsca, gdzie przebywają koziorożce, ciągnął dalej.

Drugie „ach!“ było jedyną mą odpowiedzią.

— I co lepsze, ciągnął nie zrażając się, to jest to, że nie jesteśmy tak oddaleni od mej chaty, jakby mogło się zdawać i jak byliśmy oddaleni półtorej godziny temu.

Na razie ta wiadomość mi się wydała najwięcej interesującą i szczęśliwy wpływ. który na mnie wywarła, dodał mi sił trochę.

— Otóż i ostatek drogi, rzekł naraz Titano — ale jak mówi przysłowie francuskie, nic nie ma trudniejszego do ściągnięcia ze skóry, jak ogon,

Te słowa skłoniły mię do podniesienia głowy, i widok, który zoczyłem, nie przyczyniał się do rozweselania przygnębionego zmęczeniem umysłu.

Rodzaj drogi, którą przebywaliśmy po tysiącznych przeszkodach, urywał się nagle pod górą lodową prawie prostopadłą.

— Ach! i my mamy się drapać na ten mur, spytałem Titana głosem kompletnej desperacyi.

Tak excelencyo, odrzekł, wyciągając ze swej torby krótką siekierkę i trzy par łyżew, a raczej podeszew drewnianych nabitych hakami żelaznymi.

— Przyznam się, że wolałbym nigdy nie widzieć koziorożca.

— Wolicie może, excelencyo, przejść całą drogę, którąście dziś już zrobili, by dojść do mej chaty? Nie ma innej alternaty.

Zamilkłem, lecz moja fizyonomia musiała jasno wyrażać kompletną konsternacyę, tak, że się nawet Titano ulitował.

— Poczekajcie, signor marchese, pocieszał mnie, to tylko tak strasznie wygląda na oko. Zrobię śliczne schody, że aż ochota was weźmie do drapania się na nie.

A potem? jak na górze będziemy?

Gdy tam będziemy, można się założyć sto przeciw jednemu, że zobaczymy koziorożce.

— Niech dyabli wezmą wszystkie koziorożce! wykrzyknąłem zniecierpliwiony a zarazem zawstydzony.

— Nie dajecie mi skończyć excelencyo, chciałem jeszcze dodać, że nie trzeba będzie dwudziestu minut marszu do mej chaty. Czy jesteście zadowoleni?

— Wierz temu, co mówi, rzekł markiz, już raz zrobiłem z nim tę drogę i jak ty nie miałem już sił, i miałem dowód, że ta droga jest cztery razy krótszą niż tamta.

— Zresztą, ciągnął Titano dalej — jeżeli wasza excelencya nie mógłby dalej iść, stary strzelec ma jeszcze silne krzyże, by go ponieść część drogi.

Myśl, że mógłby mnie ten wstyd spotkać, dodała mi energii i zdało mi się, że siły mi przybywają. Podziękowałem za dobre chęci Titanowi, i oznajmiłem, żem gotów na wszystko, nawet na zabicie koziorożca, jeżeli okazya się zdarzy.

— Byłem pewny tego! zawołał. Teraz napijcie się ratafii i przywiążcie sobie te łyżwy mocno do nóg. Tymczasem, wezmę się do roboty schodów. Corpo di Bacco! dodał spostrzegajac się, wasz pies będzie nam zawadzać, nie myślałem o tem zupełnie.

— Mój pies będzie nam przeszkadzał? zapytałem, a wasz?

— Och, moim nie trzeba sobie głowy zaprzątać, każę mu, to sobie pójdzie. Widzicie excelencyo, koziorożce są okrutnie ostrożne i będziemy się musieli czołgać na brzuchu jak ślimaki i rozumiecie excelencyo, że pies...

Ma racyę — przerwał markiz — ale jakże zrobić, nie widzę sposobu.

— Pies mój zostanie za mna i będzie się czołgał gdy mu dam przykład.

— Wszystko dobrze; ale jest białym.

— Tem lepiej, będzie go mniej widać na śniegu.

— Tam już nie ma śniegu, excelencyo.

— Ach! do dyabła.

— Mam myśl, zawołał żywo stary kłusownik.

— Co takiego stary czarowniku? zapytał markiz Nora.

— Sprzęgnę psa excelencyi z moim seterem i pójdę razem.

— Mój pies nie zrozumie co to ma oznaczać, będzie się bronił, i nic nie poradzimy potem.

— Torquato mu wytłómaczy sprawę, Signor marchese; jak chwilę pogadają, to się zgodzą w najlepsze.

— Soliman nie rozumie po piemontańsku, rzekłem śmiejąc się, gdyż całą tą rzecz traktowałem jako żart.

— Tak, ale Torquato umie po francusku, jakżeby inaczej porozumiewał się z przemytnikami?

— Możemy zawsze spróbować — dodał markiz, jeźli się nie uda, to uwolnimy psa twego nim się pogniewa.

— Dobrze — odrzekłem i zawołałem Solimana.

Gdy przyszedł, Titano spiął oba psy smyczą krótką, ze sierści dzika wyplecioną. Soliman patrzał ze zdumieniem na mnie, lecz nie stawiał oporu. Titano chwilę zostawił psy spokojnie, poczem skinął ręką i rzekł kilka słów w narzeczu.

Torquato spojrzał na Solimana, i na honor wzrok jego wyrażał jasno: Miły przyjacielu, gdy tylko zechcesz, jestem na twe rozkazy.

Soliman znowu począł mnie badać wzrokiem.

— Idźcie! powiedziałem mu.

I poszły oba psy, ku memu zdumieniu spokojnie. Przez kilka chwil przeprowadzałem ich wzrokiem, będąc pewnym, że dobra komitywa wkrótce się skończy, lecz nic

takiego się nie zdarzyło, ciągle galopując, Soliman odwrócił kilka razy głowę ku mnie i to wszystko.

Titano wziął się więc zaraz do rąbania schodów, a my do przypinania łyżew.

W dwadzieścia minut wszystko było ukończonem, i ta krótka chwila odpoczynku, trochę mi sił dodała.

Titano przyczepił sobie koniec długiego sznura do pasa, i kazał mi to samo zrobić a drugi koniec przyczepił sobie markiz tak, żeśmy tworzyli jeden łańcuch, którego początkiem był Titano, ja środkiem a markiz Nora końcem.

I zaczęliśmy wstępować na górę.

Było to więcej straszne, niż uciążliwe. Dwa razy nogi mi się wyśliznęły, ale Titano mocny jak skała podtrzymał, markiz też się pośliznął, i zachwiał i mnię, Titano nas obu utrzymał.

(Dok. nast.)



Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

Jak już donieśliśmy naszym szanownym czytelnikom tegoroczna wyprawa myśliwska hr. Józefa Potockiego została szczęśliwie skończoną. Znakomity nasz podróżnik i myśliwy wraca ze swym towarzyszem, p. Janem Sztolcmanem, wioząc piękne trofea i zapewne niemniej piękne wspomnienia z tej nowej podróży.

Korzystając z dzienniczka podróży i ze sprawozdań umieszczonych w „*Łowcu polskim*“ przez p. Jana Sztolcmana, podajemy szczegółowo przebieg tej wyprawy, sądząc słusznie, że wzbudzi ona takie same zainteresowanie wśród naszego świata myśliwskiego, jak i poprzednie wyprawy.

W styczniu br. wyruszył hr. Potocki wraz z p. Sztolcmanem z Wiednia i przez Tryest udał się do Aleksandryi i Kairu, następnie przez Luksor, Assuan do Shellalu koleją, stąd statkiem Cook'a do Wadi-Halfa. Z Wadi-Halfa prowadzi wojskowa kolej żelazna do Chartumu. Kolej ta ukończona dopiero przed rokiem, przyjmuje tylko 16 pasażerów na jeden pociąg i to za specyalnem upoważnieniem ministerstwa wojny w Londynie.

W Chartumie zjechali się nasi podróżnicy z ks. Janem Lichtensteinem, wybierającym się również na wyprawę myśliwską w głąb Sudanu. Książę, jeden z najsłynniejszych myśliwych i podróżników, miał zamiar udać się ku El Obeid, a głównym celem jego wycieczki było upolowanie muflona (ovis tragelaphus), którego w swojej kolekcyi jeszcze nie posiadał. Następnie miał posunąć się ku Białemu Nilowi. Hr. Józef Potocki, postanowił po naradzie z księciem Lichtensteinem, udać się w górę Niebieskiego Nilu, do Wad-Medani, barkami żaglowani, skąd już dalsza podróż do Senaar i Karkocz, miała się odbywać pieszo lub wierzchem. W Wad-Medani miało czekać na naszych podróżników 30 wielbłądów. przeznaczonych do dźwigania ładunków.

Materyał wojenny stanowiły sztućce kal. 8 z fabryki „Holand and Holand“, ekspres kal. 575, i karabin z lunetą, także od Holanda. Następnie sztuciec manlicherowski z lunetą, ten sam, z którym hr. Tomasz Zamoyski dokazywał podczas poprzedniej wyprawy cudów w Somalilandzie, następnie tz. „standard“, rodzaj paradoksa, strzelającego doskonale kulami śrótem, w końcu maleńka ptaszniczka springerowska.

Nowością w tej wyprawie był aparat elektryczny do oświetlania zwierzyny w nocy. Aparat ten przymocowuje się na lufach a łączy się z akumulatorem, umieszczonym w tornistrze, na plecach myśliwego. Za pociśnięciem guzika lampa rzuca silne światło na zwierza, do którego się mierzy, co oczywiście umożliwia celny strzał w nocy.

Okolice, do której wyprawa zmierzała, są tak mało jeszcze znane, że oficerowie angielscy w Chartumie nie umieli podać żadnych wskazówek, jakie rodzaje zwierzyny będzie można tam spotkać. Mówiono o słoniach, jeden z oficerów opowiadał hr. Potockiemu o spotkaniu lwów między Karkocz a Senaarem, pewnych wskazówek jednak nikt dać nie mógł. Była to zatem wyprawa z najzupełniejszym charakterem eksploratorskim.

1. lutego wyruszyła wyprawa z Chartumu.

Podajemy teraz już dosłownie relacye p. A Sztolcmana z *Łowca polskiego*:

„Wyjazd nasz nie odbył się bez trudności. Idris Aga — właściciel gayass — pod pretekstem, że wiatr jest przeciwny, nie chciał ruszać. Na szczęście, przechodził brzegiem gubernator (*mudir*) miejscowy, pułkownik Stanton. Hr. Potocki poskarżył się przed nim, na co Anglik zagroził Idrisowi, że jeśli zaraz nie wyjedzie, to dostanie 50 batów, a za każdy dzień spóźnienia do Wad-Medani zapłaci po 1 funcie kary. Idris natychmiast ruszył i jechał prawie noc całą.

Niemniej żegluga nasza po Nilu Niebieskim była trudna i uciążliwa, jakkolwiek bowiem wiatr był ciągle północny, lecz rzeka robi częste zakręty ku wschodowi, a nawet wprost ku północy. Musieliśmy walczyć przeciw prądowi rzeki, przeciw wiatrowi i w dodatku utrudniały naszą żeglugę mielizny. W miejscach trudniejszych załoga ciągnęła barki na linach, lub je tykami popychała, a bywało nawet tak, że ludzi nasi wchodzili do wody, aby ciężkie statki z mielizny zepchnąć.

Pomimo tego czas nam płynął szybko, wśród ciągłego zajęcia lub obserwowania miejscowej ptasiej fauny, a przyznam się, że nigdzie dotychczas nie widziałem, ani takiego życia, ani takiej rozmaitości ptactwa. Co chwila spotykaliśmy stada żórawi, kaczek, cyranek, kulików, sieweczek, pojedynczo siedzące marabou, czaple siwe i białe, słowem najrozmaitszych przedstawicieli avifauny. Najwięcej jednak widać było żórawi (żóraw zwyczajny i żóraw panienka — (*Grus virgo*).

Nigdy nie zapomnę widoku, jaki mieliśmy pod wieczór w zeszłą sobotę. Zajęty byłem preparowaniem ptaszków, gdy hrabia, który ciagle przez lornetkę horyzont obserwował, rzekł mi nagle:

— Panie, panie, zobacz, co tam żórawi!

Chwyciłem lornetkę i spojrzałem. Daleko na piasczystej mieliźnie widać było zbitą masę ptactwa przynajmniej na przestrzeni 1 kw. wiorsty. Zbliżaliśmy się powoli do

tej falangi, a w miarę tego coraz wyraźniejsze robiliśmy sobie pojęcie o tej niesłychanej ilości ptaków. Dwa mniejsze stada, liczące mniej więcej po 100 sztuk, siedziały na piaszczystej wyspie na środku rzeki, Gdyśmy się z niemi zrównali, hrabia strzelił z manlichera. Wtedy cała ta masa ptactwa podniosła się z krzykiem i świstem skrzydeł, które całe powietrze wypełniły strasznym hałasem. Ptaki leciały zrazu w nieporządku, potem zaczęły się formować w sznury, na ich krzyk podniosły się na dalszym horyzoncie literalnie chmury tego ptactwa, tak że śmiało obliczać można całą ich masę na kilkadziesiąt tysięcy sztuk. Zdaje się, że były to wszystko *Grus virgo*.

Słońce już zaszło i zmrok posuwał się szybko, więc przybiliśmy do brzegu, aby zjeść obiad. Hałas ptactwa trwał ciągle, gdyż widocznie miejscowość ta, zwana El Amar, jest miejscem *rendez-vous* dla całego okręgu, więc ptaki doń wracały. Ciemno już było, gdyśmy odjechali, a hałas trwał dalej, aż do późna wieczorem.

Widzieliśmy przedtem i potem stada żórawi po kilkaset sztuk, ale takiej masy już nie spotkaliśmy i pewnie nigdy w życiu nie zobaczymy.

Kilkakrotnie strzelaliśmy do takich stad z manlichera, nieraz z dobrym skutkiem. Tym sposobem hr. Potocki zabił cztery żorawie, a ja jednego.

Nie małą też rozrywkę mieliśmy z krokodylami, które tutaj spotykają się nierzadko, mimo że brzegi Niebieskiego Nilu są dość gęsto zaludnione. Zwykle ktoś z załogi dawał sygnał, że krokodyl leży na brzegu. Wówczas hrabia brał sztucer, i gdy się barka zrównała z potworem, strzelał. Zawsze jednak odległość była tak znaczna, że i o pudło było nie trudno, zresztą krokodyla, choć trafionego, dostać trudno.

Wreszcie po pięciu dniach żeglugi stanęliśmy w Wad-Medani 5. lutego o godzinie 9-ej wieczór, płynąc zawsze cały dzień nocy. W Wad-Medani czekały już na nas konie i wielbłądy. Następnego dnia o 10-ej rano wyruszyliśmy karawaną i teraz aż do powrotu do Chartumu będziemy ciągle w ten sposób podróżowali.

Hr. Potocki i ja mamy konie; znaczną jednak część drogi robimy piechotą, aby się do chodzenia zaprawić. Dla służby są cztery osiołki, a nadto niektórzy z nich jadą na wielbłądach. Tych ostatnich mamy 24, a ładunek możnaby śmiało pomieścić na 18-u, więc zwierzęta nie są bynajmniej przeciążone.

Zwykle hrabia budzi nas o godzinie czwartej lub o pół do piątej rano. Szybko się pakujemy, wypijamy duszkiem ranną herbatę i o godzinie piątej lub pół do szóstej już wyruszamy, gdy świtać jeszcze nie zaczyna. Tak idziemy do godziny jedynastej przed południem.

Wówczas następuje odpoczynek, ludzie rozjuczają wielbłądy, a kucharz robi śniadanie. O godzinie pół do drugiej następuje wymarsz i trwa do pół do szóstej lub szóstej godziny. Tym sposobem z łatwością robimy do 40 kilometrów dziennie.

Dziś rano o godzinie pół do jedynastej stanęliśmy w Senaarze, zatem o pełne dwa dni marszu, a ponieważ odległość od Wad-Medani wynosi 67 mil ang. = 107 kilometrów, więc znaczy, że forsując trochę, można dziennie robić przeszło 50 kilometrów.

W Senaarze czekało już na nas dwóch shikaris'ów (myśliwych), najętych w Karkocz. Jeden z nich, niezbyt czarny, o typie semickim, nazwiskiem Ahmed Idris, ma służyć hrabiemu jako pierwszy shikari; drugi czarny jak heban, z typem murzyna — Mohamed Hasabala — mnie będzie towarzyszył. Nie robią oni nadziei, abyśmy w dwa dni mogli stanąć w Karkocz, lecz nam się wydaje inaczej.

Zdaje sie, że ztąd już zaczniemy polować. Mówiono nam nawet, że o parę mil angielskich do Senaaru włóczy się lew tz. „*man-eater**)“, Hrabia jednak nie chce tu długo bałamucić, bo nam depce po piętach książę Arenberg, który wyjechał z Chartumu wkrótce po nas i dąży naszemi śladami w celach myśliwskich. Zrządzenie Boskie z tymi sportsmanami, wszyscy, jak na zamówienie, zebrali się w niewielkim stosunkowo od Chartumu promieniu.

Wiadomości o zwierzynie dochodzą nas pomyślne, obiecują nam od słonia do żyrafy — wszystko. co się grubym zwierzem nazywa, a zatem i bawoły, które dla hr. Potockiego stanowią główny cel wyprawy, gdyż jeszcze nigdy tego rodzaju zwierzyny nie strzelał. Tylko nosorożce znajdują się znacznie dalej na wschód.

I nie dziwota, że okolice te są pełne zwierza, zważywszy, że już od 20-u lat wskutek rządów Kalifa, żaden europejczyk tych stron w celach łowieckich nie nawiedzał.

Nim Was ta korespondencya dojdzie, my już będziemy zapewne z powrotem w Chartumie, jeśli się tak Panu Bogu spodoba, a zresztą plany nasze mogą ulegać ciągłym zmianom, stosownie do warunków.

Tak kończy się korespondencya z 8. lutego, następującą podaje Nr. 8. *Łowca polskiego*.

Rozstałem się z wami w dniu 9. lutego w Senaarze w chwili, gdyśmy poraz pierwszy ujrzeli naszych shikarich. Znajomość to nie małej dla nas wagi, boć od nich zależeć miało w przyszłości powodzenie naszej wyprawy; dobry shikari — to połowa szansy, że wyprawa się uda. Dla tego też nie od rzeczy będzie poznajomić Was bliżej z nimi, bo pobieżna charakterystyka, dana przezemnie w ostatniej mej korespondencyi, nie jest wystarczającą.

Stary Ahmed-Idris, shikary hr. Potockiego, lat około 55, pochodzi z arabskiego plemienia Kenana, zaludniającego przeważnie brzegi Niebieskiego Nilu. Jakkolwiek uważa się za Araba, co zresztą usprawiedliwiają jego rysy typu semickiego, posiada jednak cerę koloru palisandru. Jest to zresztą cechą wszystkich Arabów sudańskich, wśród których element semicki rozlał się w niewielkim stosunkowo procencie, gdyż matkami były przeważnie murzynki z plemion Dinka i Shilluków. Ahmed Idris jest średniego wzrostu, suchy, doskonale zbudowany, na stalowych nogach. Czarną prawie twarz okala mocno szpakowata broda. Na głowie nosi rodzaj białej płóciennej mycki, na ciele koszulę bez rękawów, w biodrach przepasany płachtą, która ma zastępować pantalony, zostawiając nogi poniżej kolan gołemi. Nad lewym łokciem ma zwyczajem tutejszym przypięty rzemienny pleciony pasek, na którym przymocowany jest mały sztylecik. W ręku zwykł był nosić miecz sudański, rozszerzony ku końcowi i zawarty w skórzanej pochwie. Taki miecz służy jednocześnie do obrony i do cięcia gałęzi drzew kolczastych na zeribę**), lub drzewa suchego na opał.

---

*) „*Man-eater*“ Anglicy nazywają lwa, który napada i pożera ludzi. Foa utrzymuje, że to są bardzo stare lwy, niemogące już polować na inną zwierzynę.

**) Zeribą wśród mieszkańców wschodniej i środkowej Afryki nazywa się ogrodzenie, zrobione z luźno ponarzucanych gałęzi kolczastych. Służy ono za ochronę od ludzi i od zwierząt drapieżnych.

Zauważyliśmy u Idrisa jeden szczegół charakterystyczny, właściwy, jak się zresztą zdaje, wszystkim Arabom sudańskim; gdy wyliczał cokolwiekbądź, np. rodzaje spodziewanej zwierzyny, nie robił tego na własnych palcach, lecz brał rękę interlokutora i trzymając ja dłonią do góry, załamywał kolejno palce, poczynając zawsze od małego.

Mój shikari, Mohamed, pochodzi aż z Darfuru i jakkolwiek też się uważa za Araba, jeszcze więcej zdradza przewagę krwi murzyńskiej. Wystające policzki, wydatne i grube wargi, nos szeroki, sam zarost dość ubogi, wskazują, że w nim krew murzyńska ma znaczną przewagę nad arabską, co potwierdza jeszcze prawie czarny kolor skóry. Ubrany podobnie, jak poprzedni, nosił zwykle na głowie biały turban i tylko na polowanie kładł myckę. Z rozmowy z nim dowiedzieliśmy się, że za rządów kalify Abdullahi'ego handlował niewolnikami, a nawet trzy razy prowadził ich partye aż do samego Kairu. Był to więc wśród miejscowych bywałec nie lada.

Obaj posiadali ogniste i pysznie zbudowane konie miejscowej rasy, w których, tak jak i w ludziach, przebijała mocno domieszka krwi arabskiej. Te konie, była to słabość, a zarazem słaba strona naszych przewodników, gdyż wszędzie, nawet na polowanie, chcieli jechać konno i dopiero z czasem hrabia zabronił im tego stanowczo. Przyczynę tego łatwo jest sobie wytłómaczyć. Miejscowa ludność nie ma pojęcia o polowaniu z bronią palną, gdyż, jak to pisałem, wyprawa hr. Potockiego jest pierwszą wyprawą sportsmeńską w te strony, w skutek więc braku szkoły nie mogła się wyrobić klasa tego rodzaju shikarich, jak np. w Somalilandzie. Miejscowi za czasów kalify polowali przeważnie na grubego zwierza, jak na słonie lub żyrafy, forsując zwierzynę konno i przecinając ścięgna u nóg tylnych. Jak oni w gęstej dżungli mogli forsować żyrafę, jest to dla nas zagadką, faktem jest wszelako, że to był jedyny sposób polowania, dopóki rząd angielski nie rozciągnął opieki nad grubą zwierzyną. Taki więc Sudańczyk umie doskonale rozpoznać trop zwierzyny, ocenić, jak jest stary, tropić godzinami po czarnej stopie, nie zmyliwszy ani razu, lecz o podejście na blizki dystans nie troszczy się, bo mu się zdaje, że każda broń powinna zabić niechybnie na 200 do 300 kroków, a o tropieniu po farbie wprost pojęcia nie ma. Ani razu nie zdarzyło nam się, aby nasz shikari poszedł na strzał i sprawdził, czy zwierzyna farbuje lub nie i dopiero uczyć ich tego musieliśmy, choć przyznać im trzeba, że dzięki niepospolitemu wzrokowi, lepiej trzymają trop farbujący, jak pierwszy lepszy europejczyk. A wzrok rzeczywiście mają fenomenalny, czego wielokrotnie dali nam dowody, wypatrując stojące w gąszczu na znaczną odległość antylopy. Oceniałem, że gołem okiem widzą równie dobrze, jak ja przez lornetkę podjazdową, a hrabia szedł jeszcze dalej, utrzymując, że wzrok ich sięga równie daleko, jak najlepsze szkło zeisowskie.

Jedną jeszcze wadę mieli nasi shikari, a mianowicie, że podprowadziwszy do zwierza, tak się jego widokiem podniecali, tak byli przekonani o dokładności naszych strzałów, że nie bacząc na odległość, ani na warunki, krzyczeli niemal: „Strzelaj, strzelaj“ — szarpiąc za rękaw ubrania. Tak mnie tem parę razy zgniewali, żem gwałtownymi ruchami dał im do zrozumienia, jak niewłaściwem jest podobne ekscytowanie myśliwego.

Z tego, com powiedział o naszych łowcach, wynika, że stanowią oni doskonały materyał na shikarich, ale w skutek braku dobrej szkoły nie jest on jeszcze dostatecznie urobiony. Hrabia dawał im często nauki w tej materyi, a sądzę, że kilka takich jak nasza ekspedycyj, mogłoby z nich wyrobić znakomitych przewodników myśliwskich, coś w rodzaju Alikara, owego sławnego shikarego somalilandzkiego. którego hr. Potocki miał przy sobie w poprzedniej swej wyprawie.

Sprawdziłem też niejednokrotnie, że tylko podprowadzając do grubego zwierza, jak do słoni lub bawołów, szli wolno, ostrożnie i bez hałasu, natomiast podchodząc antylopy, szli zawsze zbyt prędko, szeleszcząc swemi skórzanemi podeszwami, czem czujność zwierza budzili. Zwykle też, gdy mi antylopy sygnalizowali, zostawiałem ich na miejscu i sam dalej podchodziłem, gdyż przekonałem się, że pojedyncze sztuki zejść można z dobrym wiatrem na odległość stu kroków, gdy się tylko środki ostrożności zachowuje. Raz nawet zeszedłem antylopę „baszmata“ (*Cervicapra bohor*) na czystej łące nie więcej, jak na 100 kroków, ale podchodziłem chyłkiem tylko wtedy, gdy zwierz głowę zniżał do żerowania, a skoro tylko rozglądał się po okolicy, przypadałem do ziemi i czekałem, aż póki znów żerować nie zacznie.

A teraz, skoro poznajomiłem was z wadami i zaletami naszych prowodyrów, mogę nawiązać przerwany wątek mego opowiadania.

W Senaarze rozkwaterowaliśmy się w pustym domu zajezdnym, wybudowanym z niepalonej cegły, a zawierającym trzy izby i obszerną werandę, na której rozłożyliśmy nasze bagaże. Całodzienny prawie przystanek pozwolił nam umyć się dokumentniej, jak zwykle, listy i korespondencye popisać, wreszcie dać do prania bielizną. Miejscowy „mamur“ (rodzaj naczelnika powiatu), rodem Egipcyanin, starał się nam usłużyć jaknajlepiej, przysłał nam limoniady, jaj, świeżego chleba, wreszcie dawał rady co do dalszej naszej marszruty, uważając za najlepszą drogę przedostanie się na wysokości Hamdy do Dinderu, jednego z dopływów Nilu Niebieskiego. Rada ta była jak się zdaje doskonałą, okazała się jednak w przyszłości niewykonalną, o czem we właściwem miejscu wspomnę.

Po bezsennie spędzonej nocy (tak nas komary cięły) wstaliśmy o godzinie 4-ej rano, gdy już wielbłądy ładowano, a skoro tylko świtać zaczęło, ruszyliśmy w drogę. Od Senaaru zachowywaliśmy już taki porządek, że my obaj w towarzystwie shikarich, Stefana, Ahmeda i kilku krajowców do noszenia broni jechaliśmy naprzód znacznie szybszem tempem, gdy karawana ciągnęła wolniej za nami. Do postoju południowego dawało nam to zwykle $1^1/_2$ godziny awansu, a do wieczornego blizko godzinę. Oprócz tego, spotkawszy po drodze antylopy lub gazelle, mieliśmy swobodę ruchów, gdyż nam karawana po piętach nie deptała. Przodem jechał zwykle Ahmed Idris, za nim Mohamed, hrabia, ja, ludzie niosący naszą broń, Stefan i Ahmed. W Senaarze personal naszej karawany powiększył się jeszcze o dwóch ludzi. Jakiś stary, prawie zgrzybiały murzyn, uzbrojony w lancę, przyłączył się do nas jedynie tylko w nadziei, że zabijemy słonia i że jemu dostanie się kawałek mięsa — skromne aspiracye, które jak czas pokaże, zostały w zupełności zadowolone. Drugi znów, Hasaballa, młody Arab, niewielkiego wzrostu, nadzwyczaj żywy i ruchliwy, poszedł za nami wprost z amatorstwa, aby towarzyszyć polowaniu, do którego widocznie miał wrodzony pociąg. Ten Hasaballa okazał się w następstwie doskonałym strzelbonoścem, chętnym, wytrzyma-

łym, sprytnym i odważnym. Wzrok przytem miał sokoli. Te wszystkie zalety jego zrobiły, że hrabia brał go stale jako swego pierwszego strzelbonośca, powierzając mu swój kal. 450.

Wyruszyliśmy tedy z Senaaru w wyż rzeczonym porządku, kiedy brzask zaledwie ukazał się na wschodniej stronie horyzontu. Jeszcze słońce nie weszło, zatem w jakie 1/2 godziny od wyjazdu, spostrzegłem na pyle naszej drogi trop jakby olbrzymiego kota. Zatrzymałem konia i zapytałem idących za mną ludzi, coby to było, w przypuszczeniu, że to zapewne trop lwa. „Marfain" (hyena) — odpowiedzieli mi. Nie była to jednak hyena, gdyż kilkaset kroków dalej Ahmed Idris zatrzymał konia i wskazując na podobny zupełnie trop, wyrzekł magiczne słowo: „El assad" (lew).

Trudno jest piórem wyrazić, jak wielkie wrażenie robi na nas widok pierwszego tropu lwa. Obok wewnętrznego zadowolenia, że znajdujemy się wreszcie w kraju, gdzie ten wspaniały, a straszny zwierz przebywa, uczuwamy jakby pewien rodzaj respektu przed jego potężnym majestatem. Tutaj oto, po tej drodze, może godzinę temu przechadzał się król zwierząt, przedmiot westchnień tylu myśliwych. W danym wypadku ten dziwny urok potęgował się jeszcze, gdyż wiedzieliśmy, że jest to trop owego strasznego „man-eater'a" (ludożercy), o którym pisałem w ostatnim mym liście z Senaaru. Ponura jego sława rozbrzmiewa na całym Nilu Niebieskim — od Wad-Medani aż do Roseires pod granicą Abissyńską. Już do tej pory miał on 10 ludzi na sumieniu, a cała jedna osada wyniosła się zupełnie z okolicy, taki strach paniczny ogarnął mieszkańców przed tym groźnym, a nieuchwytnym wrogiem. Wiadomo bowiem, jak trudnym do zabicia jest „man-eater". Jest to zwykle stary lew, przebiegły i mądry. Do zdobyczy nigdy nie wraca następnych nocy, a ofiary swe wybiera kolejno z różnych okolic, aby uniknąć wszelkiej zasadzki. Gdy w danym razie nie znajdzie na ofiarę człowieka, zabiera kozy lub osły; mięso jednak ludzkie nad wszystko przekłada i nie chybi nigdy okazyi, gdy mu się tem łakomy kąsek nawinie.

Opowiadał nam nieco później Smith-bey, gubernator Karkocz, w jak straszny sposób porwał mu człowieka z jego otoczenia na tydzień przed naszym przyjazdem do Senaaru. Smith, pragnąc oswobodzić okolicę od groźnego zwierza, wybrał się na niego w towarzystwie kilku ludzi. Zwyczajem indyjskim kazał sobie urządzić rodzaj czatowni na drzewie i zasiadł wieczorem na zasadzkę, przywiązawszy u stóp drzewa kozę. Ludzie jego w pewnej odległości urządzili sobie zeribę, do której się na noc schronili, zabierając ze sobą konia Smith-bey'a. Już było pod wieczór, kiedy spostrzegli na drodze dwóch przechodniów, zatrzymali ich, proponując im zanocowanie w zeribie, gdyż jak mówili, lew mógłby którego z nich porwać; przechodnie zgodzili się na to chętnie.

Lew przyszedł w nocy, ale nie do czatowni Smith'a, lecz pod zeribę. Koń, poczuwszy niebezpiecznego wroga, zaczął się rzucać i płoszyć, a wówczas jeden z przechodniów wstał, aby wystrasone zwierzę uspokoić. Lecz ledwie się podniósł, lew przeskoczył zeribę, schwycił nieszczęsnego za głowę i z nim razem wyskoczył z ogrodzenia, nim inni mieli czas ochłonąć z pierwszego wrażenia. Zrobił się straszny hałas, co słycząc Smith ze swej czatowni, zeszedł na ziemię i podbiegł do zeriby. Co tu jednak robić wśród ciemnej nocy? Anglik wpadł wtedy na oryginalną myśl: zapalił dżunglę i przy świetle pożaru puścił się wraz ze swymi ludźmi po krwawych tropach ludożercy. Doszli wkrótce do nadjedzonego trupa nieszczęsnej ofiary, lecz „man-eater" ustąpił przed ludźmi i na tem się polowanie skończyło.

W powrotnej drodze przechodziliśmy temi miejscami w dniu 10. marca. Jakiś tłusty Arab, któregośmy spotkali w towarzystwie niewolnika, opowiadał nam wystraszony, że „man-eater" w dalszym ciągu psoty wyrządza i że trzy dni temu znów porwał człowieka. Strach w okolicy jest taki, że nikt po godzinie trzeciej popołudniu nie odważa się podróżować tamtędy. Nieco dalej napotkaliśmy kilku pastuchów, z kozami i baranami. Zapytani opowiadali nam, że lew włóczy się tu nieustannie, a jeden z nich widział poprzedniego dnia trzy. Inny znów mówił nam, że „man-eater" dwa razy atakował go w dzień, lecz że mu się obronił lancą i krzykiem. Sprawa, wealug mnie, musiała się przedstawiać nieco odmiennie: lew, nawet „man-eater" nie atakuje nigdy człowieka w dzień, chyba że jest zaczepiony, lecz za to niechętnie ustępuje z drogi. Zapewne więc pastuch wlazł przypadkiem na „man-eatera", ten mu zęby pokazał, a biedny Arab ze strachu zaczął się drzeć i lancą wymachiwać dotąd, póki lew nie ustąpił.

Ten dzień wyjazdu z Senaaru (9 lutego) zaznaczył się jeszcze w naszej pamięci kilkoma faktami. Ja i jeden z shikarich widzieliśmy jakiegoś sporego kota, przebiegającego przez drogę w odległości mniej więcej 80 kroków. Przypuszczam, że był to „caracal" (*Felis caracal*), gatunek rysia z dość długim względnie ogonem i maści jednolitej — bez centek. Ahmed Idris widział znów pomykającego w gąszczu phacochoer'a, potwornego dzika afrykańskiego, o którym przy sposobności pomówię obszerniej. Wreszcie dnia tego spotkaliśmy poraz pierwszy dzikie pentarki. C. d. n.



Korespondencye.

Zimna woda, 2. kwietnia 1901.

Przysłowiowem stało się imię lisa jako synonim chytrości i przebiegłości, wiele też przykładów, różnych jego sztuczek podały już w ciągu długiego a tak pożytecznego swego istnienia łamy *Łowca*. Do tej wiązanki, składającej się na obraz charakteru naszego mykity, pragnę dorzucić jeden szczegół.

Przed dwoma laty zauważyłem w pobliżu mego folwarku, na łanie rzepaku, obecność lisa. Niejednokrotnie donoszono mi, że go ktoś widział w rzepaku lub też kręcącego się po polach w jego pobliżu, nie udało mi się jednak na razie wykryć jego siedziby, ani tem mniej ze strzelbą w ręku spotkać się z nim oko w oko. Od czasu do czasu dochodziły mnie jednak słuchy o tajemniczem zniknięciu jakiejś sztuki drobiu, co naturalnie należało przypisać na konto lisie. Dopiero gdy rzepak ustąpił się

z pola, incognito lisa zostało zdemaskowanem, a różne jego bezceństwa — w postaci nagromadzonych około jamy w rzepaczysku szczątek ofiar przez niego uduszonych — wyszły na jaw. Jama była płytka, widocznie mykita nie założył tu sobie stałej siedziby, lecz służyła mu tylko jako miejsce, skąd w pobliżu folwarku, uprawiał ten raubritter swój zbójecki proceder.

Na odkrytem jednak polu niewygodnie mu było mieć jamę, to też porzucił ją i zuchwale, zachęcony dotychczasową bezkarnością, przeniósł się w sam środek gumna do dziury pod podłogą plewnika, którą sobie adaptował na mieszkanie. W krótce też zdradził swą obecność zuchwałym czynem.

Obok plewnika znajduje się zagrodzone miejsce, gdzie mała dziewczynka pasła jedenaście indyków. Lis z jamy swej pod plewnikiem obserwował z rozkoszą ten idyliczny obrazek i spoglądał łakomym wzrokiem na indyki. Obecność jednak pastuszki stawała na razie na poprzek jego apetytowi. Czekał więc cierpliwie chwili, gdy dziewczyna odeszła na południe, pozostawiając indyki w ogrodzeniu, by swobodnie trzy z nich udusić i wciągnąć do jamy. Lament dziewczyny, pierze uduszonych ofiar spowodowały gorliwe poszukiwania za winowajcą i odkrycie jego schronienia. Chłopak żerdzią wydobył z jamy dwa nieżywe indyki, ja zaś postanowiłem wziąć również chytrością chytrego mykitę.

W tym celu kazałem wyjąć jeden z kamieni podmurowania plewnika z przeciwnej strony dziury lisiej, i wpuściwszy do jego jamy jamnika sam z legawcem przy nodze i strzelbą w ręce, stanąłem w pobliżu miejsca, skąd kamień wyjęto. W krótce też wyparowany przez jamnika, pomknął z dziury lis. Złożyłem się do niego — w tej samej jednak chwili uniosła mego legawca nienawiść do lisiego rodu i siedział już na lisie. Nie chcąc skaleczyć psa, strzeliłem za krótko i postrzeliłem tylko w tył lisa. Lis nie czując się widocznie na siłach, zamiast uciekać w pole, gdzieby go pies doszedł, okrążył stodołę i naraz zobaczyłem go na stercie słomy stojącej przed stodołą. Wnet legawiec i jamnik znaleźli się również na stercie i przemożnym ich siłom uległ lis.

Takim był zuchwały żywot i śmierć tego lisa i sądzę, że wśród różnych przykładów polowań na lisa w stodole i w budynkach gospodarczych, wypadek ten nie mniej jest ciekawym i charakteryzującym naturę lisa.

W. Rieger.

Wysuczka, 27. kwietnia 1901.

Nie wiem, czy między adeptami św. Huberta grasuje gdzie spleen i dziwnem wydawałoby mi się, gdyby tak było, bo chociaż i czynności myśliwego są jednostajne i powtarzające się, to jednak żyje się ciągle myślą wrażeń, mających nastąpić po wrażeniach już przeszłych.

Skończył się sezon polowań zimowych, czeka się czasu polowania na lisa z chartami, i czasu budki z puhaczem, skończy się to, wyczekuje się chwili, kiedy nas świst i chrapanie do lasu zwabi, minie czas ciągu słonek, czeka się czasu, kiedy ustawa pozwoli na podjazd i strzelić z expresa do pięknego rogacza, i tak idzie jedno za drugiem, i powtarza się rok rocznie jedno i to samo, a jednak jak rozmaitemi są te wrażenia i jak tu na spleen chorować?

Towarzysz w św. Hubercie, p. Gordaszewski, napisał do naszego „Łowca“ z dnia 1. kwietnia bardzo piękny artykuł, pod tytułem „Zasiadka“, obrazy w nim kreślone są tak piękne i argumenta tak przekonywujące, a emocye tak wielkie, że z niczem się porównać nie dadzą, kto nie próbował tego rodzaju polowania, temu z serca radzę, aby spróbował a potem zdanie swoje wypowiadał.

W roku 1891 przy wielkich śniegach urządzałem sobie zasiadki przy ścierwie końskiem na dziki, i powiem, że większych emocyi nie doznawałem przy żadnem polowaniu. Kazałem o 50—60 kroków od miejsca, gdzie ścierwo końskie leżało, ustawić przy dębie gałęzie grabowe z suchymi liściami, aby było nieznaczne, do koleby takiej wchodzi się ciepło ubranym dosyć wcześnie, bo już około 4-tej godziny i w czasie, kiedy księżyc wcześnie wschodzi i jasne wieczory — około ścierwa końskiego posypuje się trochę kukurudzy. Nim dzik z legowiska ruszy na żer nocny, ma się bardzo piękne na stanowisku obrazy; wśród ciszy wieczornej, przysuwa się do ścierwa lis, ogląda się na wszystkie strony, radby skoczył w jednej chwili do polędwicy końskiej, lecz spryt jego nakazuje ostrożność — w jednej chwili zaszeleściało w powietrzu, lis skoczył w gąszcz, na ścierwo siadł gołębiarz i rozpędził sikorki dziobiące ścierwo, sikorki przypatrują się z krzaków uczcie gołębiarza i plotkują coś na niego bardzo głośno, z czego on sobie nic nie robi — lis widząc apetyt gołębiarza, przybliża się do ścierwa i zaczyna drzeć ścierwo, wyszczerzając zęby na gołębiarza, który zbliża się do kawałka przez lisa targanego.

Z jakąż ochotą strzeliłoby sie w tę spółkę największych rabusiów, i jedynie myśl, że dziki niebawem nadejść mogą, zatrzymuje myśliwego od strzału, lecz ta emocya z niczem porównać się nie da. Nareszcie nadchodzi druga chwila emocyie tj. nadciąganie dzików. Już z daleka słychać wśród wieczornej ciszy kwik warchlaków w różnych kierunkach, jeżeli kwik słychać za plecami, a wiatr choćby najmniejszy dął w ich stronę, nie przyjdą do ścierwa, lecz bokami będą rechtać i kwiczyć, a myśliwy oddech w sobie zapiera w nadziei, że lada chwila ujrzy te czarne masy przy ścierwie — lecz to daremne, bo zwietrzyły zdradę; jeżeli jednak albo wiatru zupełnie nie ma lub dziki zachodzą do ścierwa z boku lub frontu, wtedy piękny widok dla oka się przedstawia, jako avantgarda idą warchlaki, za nimi ich mama, macocha lub guwernantka, zależy od tego, jak się stosunki familijne w tej zacnej rodzinie ukształtowały po ostatniem spotkaniu się z myśliwymi, i z jakimi myśliwymi.

Nadzór zostaje w gąszczu i przypatruje się jak pupile ciamkają kukurudzę rozsypaną około ścierwa, a widząc że im to bezkarnie uchodzi, odważa się sam zbliżyć, do jadła i przypłaca strategię swoją życiem. To się opisuje, lecz kto potrafi określić tak dokładnie te emocye, które się przechodzi. Jedną z większych przyjemności u nas na Podolu, jest polowanie na lisa z chartami w styczniu i lutym. Na polowaniach gremialnych lisów nie ma, dziwi się człowiek, co się z niemi stało, on jednak jest i to gęsto i dopiero rozglądając się tylko za nim gdy się ma charty pod fartuchem na saniach, pokazuje się, że ten szlachetny ród sprytem swoim wymyka się od polowań gremialnych.

W tym roku wziąłem ich sześć, między tymi trzy lisice, i gdyby lepsze pole było, byłbym ich wziął szesnaście. Psy biorcze dojdą każdego, lecz nie każdego wezmą, bo to od pola zależy, stary cięty lis nie prędko da się

psom wziąść dopiero po zaciętej walce i po pokaleczeniu psów, ulega sile mocniejszego. Już i charty spoczywają i jesieni czekają a tymczasem idą podjazdy, następnie kuropatwy i przepiórki, nim to wszystko nastąpi, mamy zjazd łowiecki w czerwcu, na którym nie jedna kwestya ważna dla łowiectwa krajowego omawianą będzie i spodziewać się należy, że kto będzie mógł, i komu dobro tej kultury na sercu, pospieszy na ten zjazd, aby się podzielić myślami z drużyną myśliwską i przyczynić się do rozwoju gospodarstwa krajowego w dziedzinie łowieckiej.

Czarkowski-Golejewski.



Sprawy Towarzystwa.



Posiedzenie Wydziału Towarzystwa z d. 13. maja 1901. Obecni: Wiceprezes Ordynat Czarkowski-Golejewski, członkowie Wydziału: Exc. Witold Korytowski, Antoni Goralczyk, Maryan Hamerski, Seweryn Krogulski, Alfred Dzikowski, Stanisław Piegłowski, Tadeusz Klusik i syndyk Towarzystwa, Dr. Władysław Sołowij.

Odczytano protokół ostatniego posiedzenia z dnia 22. stycznia 1901 i przyjęto go do wiadomości. Przystąpiono następnie do porządku dziennego. Punkt pierwszy: Urządzenie piątego zjazdu łowieckiego. Po dłuższej dyskusyi postanowiono niedzielę 30. czerwca, jako pierwszy dzień zjazdu, poniedziałek 1. lipca rano do ewentualnego dokończenia nieskończonych obrad dnia pierwszego, popołudniu popisowe strzelanie na wojskowej strzelnicy. Drugi punkt porządku dziennego: wybór komitetu urządzającego strzelanie. Uproszono Exc. Korytowskiego, aby i tym razem przyjął funkcye przewodniczącego komitetu i wybrano do komitetu tych samych członków, co i r. zeszłego, mianowicie: pp: hr. Bielskiego, Hamerskiego, Klusika, Krogulskiego, ks. Lubomirskiego, Miziewicza, Piegłowskiego, Dr. Sołowija, hr. Szembeka, Oczosalskiego. Komitet ten ma się zająć urządzeniem strzelania, zebraniem nagród i na najbliższym posiedzeniu Wydziału zdać sprawę z poruczonych mu czynności.

Do komisyi rewizyjnej do sprawdzenia rachunków i ułożenia preliminarza na r. 1901, wybrano z tych samych członków tj. Pp. Goralczyka i Szczerbickiego. Wiceprezes Ordynat Czarkowski-Golejewski ze względu na to, że mieszkając daleko od siedziby Towarzystwa, nie może co miesiąc przyjeżdżać na posiedzenie Wydziału, który powinien w interęsie spraw Towarzystwa zbierać się częściej, stawia wniosek, by wiceprezesem obrać kogoś z miejscowych członków i proponuje na tę godność p. Seweryna Krogulskiego. P. Krogulski stawia wniosek, żeby do czasu, aż przez zmianę statutu zostanie wybrany II. Wiceprezes, mógł w ważnych chwilach zwoływać posiedzenie Wydziału najstarszy wiekiem. Wniosek ten uchwalono i na propozycyę Wiceprezesa poruczono zwoływanie Wydziału p. Radcy Goralczykowi. Sprawę deputacyi do Exc. Namiestnika i Prezydenta apelacyi zostawiono do Walnego Zgromadzenia. Exc. Korytowski radzi, by zająć się zebraniem dat co do ukaranych kłusowników przez sądy powiatowe i starostwa i na ich podstawie wnieść memoryał do Namiestnictwa i Nadprokuratoryi Państwa. Strzelanie konkursowe lwowskich rusznikarzy na wniosek pp. Krogulskiego i Dzikowskiego, odłożono do roku następnego, z tego powodu, że już za mało jest czasu by wszyscy rusznikarze mogli się przygotować.

Myśl rozdania medali zamiast nagród, po dłuższej dyskusyi, nie utrzymała się, i postanowiono pozostawić nagrody w tej samej ilości i jakości jak roku zeszłego. Co do wspólnego zebrania się członków zjazdu po ukończeniu strzelania uchwalono na wniosek p. Krogulskiego załatwić tę sprawę podczas Walnego Zgromadzenia.

Dyecyzyę, co do urządzenia strzelania pań pozostawiono komitetowi urządzającemu. Na wniosek p. Krogulskiego, uchwalono wnieść do Sejmu powtórnie petycyę w sprawie zmiany paragrafu 41. ustawy łowieckiej co do święcenia niedziel i świąt, w stylizacyi podobnej do stylizacyi petycyi zeszłorocznej.

Uchwalono na wniosek p. Piegłowskiego wnieść petycyę do Sejmu o przedłużenie czasu strzelania jeleni do 1. stycznia, ze względu na wielkie rozmnożenie się tychże i na szkody stąd wynikające w polach.

Na wniosek Wiceprezesa Ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego, uchwalono zaprosić Exc. p. Namiestnika osobnem pismem na zjazd i na strzelanie*).

Sprawę związku Towarzystw myśliwskich, uchwalono jeszcze raz predyskutować na najbliższym posiedzeniu Wydziału.

Na tem zakończono.



Od Redakcyi.

Numer niniejszy spóźniony został o trzy dni ze względu na potrzebę podania w nim terminu zjazdu, który dopiero d. 13. bm. mógł być oznaczony.



*) Wiceprezes Ordynat Czarkowski-Golejewski był osobiście u Exc. Namiestnika z zaproszeniem go na zjazd. P. Namiestnik zapowiedział z całą uprzejmością swoją bytność na zjeździe.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.